

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

21

I.

Gawlik przestraszył się. Tego samego dnia, za parę godzin, miał podpisać w kancelarii adwokata kontrakt z dyrekcją przedsiębiorstw budowlanych, obowiązujący go do dostarczenia większej ilości drzewa w najkrótszym terminie. Na drzewie zaś, zakupionem u Golda, zarabiał wraz z Kręckim, który poprzednio miejsce zbytu mu wskazał, pokątną sumę. Gdyby teraz Gold zrzucił się ze sprzedaży, jego zysk cały byłby sfracany, bo na razie innego drzewa przedsiębiorstwu dostarczyć by nie mógł.

— Ależ panie Gold — zwrócił się do kupca — dlaczego pan tak wszystko gorąco bierze. Wcale nie zamierzam zwlekać z ukończeniem sprawy. Dziś jeszcze, tak jak panu mówiłem, interes ubity zostanie. Za godzinę najdalej wrócę tu z zadatkiem — dodał, powstając szybko i dając ręką znak płatniczemu. Czy panowie tu zaczekają na mnie?

— My u adwokata na Grodzkiej będziemy czekać na pana — odpowiedział Gold.

— A potem pojedziemy obejrzeć drzewo. Nie bardzo mi to na rękę — rzekł Gawlik, bo dziś mam do załatwienia dwie jeszcze sprawy, ale skoro to jest konieczne.

— Konieczne — potwierdził Kręcki z naciskiem...

— Gdzież to więc mamy jechać? — zapytał Gawlik. — Mówił pan, że drzewo jest w Dębicy.

— Trochę dalej — uśmiechnął się Gold. — Ale panu to już wszystko jedno, czy jedna, czy dwie stacje dalej. Ja panu powiem po drodze, bo teraz nie mam czasu — rzucił już na wychodnym. — Więc niech pan pamięta. Czekam na Grodzkiej.

Gawlik z Kręckim wyszli razem z kawiarni.

— Nie dziwiłbym się wcale, żeby to drzewo było mokre i może gdzie pod Przemyśłem — odezwał się Kręcki, kiedy się znaleźli na ulicy.

— Co też pan mówi — zaniepokoił się Gawlik. — Dyrekcja mokrego nie przyjmie. Dlaczego więc, jeżeli pan tak przypuszcza, nie oponował przeciw podpisaniu umowy? Możemy wpaść w brzydką sytuację.

— Pan podpisze umowę z dyrekcją i weźmie zadatek — odparł Kręcki tonem, niedozwalającym opozycji. — Część zadatku odciągniemy na nasz procent, a Goldom pan powie, że resztę zadatku da mu pan po obejrzeniu drzewa...

— A jeżeli drzewo okaże się niedobre, to zadatek dyrekcji zwrócić musimy.

— Pan jeszcze jest bardzo naiwny — zaśmiał się Kręcki. — Oczywiście, że jeżeli drzewo będzie niemożliwe, to pan zadatek zwrócić musi — dodał z naciskiem.

— Ja? — przestraszył się Gawlik.

— Zapomina pan, jak widzę, o naszej obojętnej umowie — odparł zimno Kręcki. — Ja panu dostarczyłem solidną firmę, która chce przez pana kupić drzewo. Któż więc będzie winien, jeżeli okaże się, że żydzi pana podeszli — ja? czy pan? Żydów tych pan sam wyszukał. Należało jeszcze przed umową z dyrekcją przekonać się, jaki towar dają. Pan tego nie zrobił. Czas nagli, bo i Goldom śpieszy się i dyrekcja terminowo potrzebuje dostawy. Więc teraz nie ma wyjścia innego. Musimy zaryzykować. Umowy spisać, a potem radzić, jeżeli zajdzie tego potrzeba. To znaczy, albo pan zwróci zadatek, albo też przydusi pan żydów, ci opuszczą panu jeszcze coś z ceny, jeżeli rzeczywiście drzewo jest za mokre do wyrobu. Zresztą — dodał Kręcki pozornie obojętnym głosem — od pana zależy, aby dyrekcja przyjęła dostawę jakakolwiek

by ona była. Różne są na to sposoby, aby z czarnego białe zrobić. Gra warta świeczki. A teraz żegnam pana. Jutro wieczorem czekać będę w kawiarni.

W parę godzin później, Gawlik zdenerwowany, zmęczony, trzęsącym, żydowskim wózkiem włókł się po wyboistej drodze, prowadzącej od małej stacji, do miasteczka, znajdującego się pod Tarnowem.

W samej chwili odjazdu na dworcu krakowskim, stary Gold zapadł się jak pod ziemię i tylko syn jego Jakób towarzyszył Gawlikowi w podróży.

Kiedy dojeżdżali już do ostatniej stacji, gdzie wysiąść mieli, deszcz padać zaczął ulewny.

Gawlik wściekły, owinięty w podróżny płaszcz, kłąć zaczął, wymyślając swojemu towarzyszowi.

— No, co ja winien — bronił się apatycznie żydek. — Panu zachciało się drzewo oglądać. Obydwa tylko czas napróżno tracimy. Czy ja zamówił deszcz na tę drogę? Żebyśmy chociaż na furmankę trafili na stacyi.

Z wielkim trudem udało im się złapać wó-



— To jest to drzewo, co pan kupił — wskazał ręką młody Gold — Za takie małe pieniądze ma pan takie piękne drzewo. Interes jak złoto.

zek żydowski, zaprzagnięty w dychawiczną, ledwie wlokącą się szkapę. Siedzenie wypchane przegniłymi grochowinami, nakryte było starym, podartym workiem.

Wlekli się już tak prawie godzinę, a jakoś miasteczka ani żadnych zabudowań widać nie było.

Zanim wsiedli, młody Gold poszwargotał coś z furmanem, ale tego, co mówili, Gawlik dosłyszec nie mógł.

Deszcz na szczęście nie był już tak gwałtowny, zamienił się pomału w drobny, gęsty kapuśniaczek, przenikający ubranie wilgocią.

— No, cóż? daleko jeszcze mamy? zapytał w pewnej chwili Gawlik, wychylając twarz z nastawionego kołnierza płaszcza.

— Jeszcze trochę — odpowiedział znużonym, monotonnym głosem młody Gold.

— Coś dyabelnie daleko do tego tartaku — mruknął Gawlik podejrzliwie.

Żydek uśmiechnął się tylko i nie odpowiedział. Po jakimś czasie wózek skręcił z głównej drogi na polną ścieżkę między zbożami. O kilkadziesiąt kroków zamajaczyła przed Gawlikiem ciemna linia lasu.

— Co to znowu? — rzucił już gniewnie roz-

glądając się po okolicy. — Gdzie mnie pan wiesz?

— Ja wiesz pana do lasu — odparł obojętnie żydek.

— Do lasu? I tam ma być moje drzewo?

— W lesie zawsze jest drzewo.

Gawlik aż podskoczył na siedzeniu. Teraz już wiedział, że żydzi wywiedli go w pole i że cały interes, na który tak liczył, przepadł na dobre.

— Więc to ma być to drzewo suche, coście tak z ojcem zachwalali — oburzył się. — Ależ to łajdactwo prawdziwe! Ja suche drzewo kupilem i suche odstawić muszę, rozumiesz pan? — szarpnął młodego Golda za ramię. — To jest oszukaństwo, złodziejstwo. Zadatek wzięliście, co? Ale ja go wam z garhla wydrę, do policyi dam znać.

— Czego się pan szarpie — syknął żydek, odsuwając się przeczornie. — Czego pan chce ode mnie? Ojciec mi kazał panu drzewo pokazać, to ja pokazuję. A że ono trochę mokre może być, to i co? wysuszy się?

— Wysuszy się, jak ja go już w przyszłym tygodniu odstawić go muszę...

— No to pan nie odstawi, bo ono jeszcze nie ścięte!

— Co? nie ścięte! — ryknął na cały głos Gawlik, siny z wściekłości. — Nie ścięte! To czego mnie pan tu wiezie! Dlaczego nie powleździeliście mi tego w Krakowie! Co ja teraz zrobię! Co ja teraz zrobię! Kpiny sobie ze mnie robią przekłeci żydzi! Ale ja was nauczę rozum! Jakim żyw nauczę!

Dojeżdżali już właśnie do lasu. Wymukłe, rosłe sosny stały gęstym, zbitym rzędem, kotłując się majestatycznie wierzchołkami pod naciskiem wiatru. Ostro, żywiczna fala płynęła od nich, zmieszana z wilgotnym zapachem ziemi, poruszonej przez deszcz.

— To jest to drzewo, co pan kupił — wskazał ręką młody Gold. — Za takie małe pieniądze, ma pan takie piękne drzewo. Interes jak złoto.

— Nawracaj! — huknął Gawlik ochryplym głosem. — A to psubraty! — rzucił przez zęby, dygocąc z wściekłości.

Przez całą drogę powrotną nie odezwał się już ani słowem. Wiedział, że teraz już nic go z tej sytuacji, w jaką wpadł lekkomyślnie, nie wyprowadzi. Jasne było, że żydzi oszukali go jak najhaniebniej.

Młody Gold, zapięty szczelnie w ciepły, gruby płaszcz, zdawał się drzemać. W duchu czuł się zadowolonym, że cała sprawa zakończyła się w ten sposób. Kiedy wyjeżdżał z Krakowa, lękał się trochę gniewu i wściekłości Gawlika. Ale kiedy on już teraz nic nie gada, to widać dobrze... Namysłili się przez drogę i drzewo jakie jest, weźmie. A jak nie weźmie, to i tak zadatek przy nich zostanie, bo chyba Gawlik nie taki głupi, żeby w tę sprawę mieszać policyję.

Noc już była, kiedy Gawlik zgłodniały, zziębnięty dzwonił do swego mieszkania. Zjadłszy na prędce podaną przez Franciszka kolację, położył się, ale do rana oka zmrzucić nie mógł.

Po pierwsze niepowodzenie uderzyło go jak obuchem w głowę. Wściekły był na Kręckiego, że umiał się urządzać w ten sposób, że cała odpowiedzialność za nieudany interes spadła tylko na niego.

O tem, żeby dyrekcja przyjęła takie drzewo, mowy być nie mogło. Należało pójść tam nazajutrz, zwrócić zadatek, którego jedną część już odłożył dla Kręckiego i oczywiście całą sumę wyłożyć z własnej kieszeni, bo ani Gold, ani Kręcki od swojego odstąpić nie zechcą.

Ślicie już zeszło i ruch zapanował w całej kamienicy, kiedy Gawlik zbity, bezsilny zasnął na parę godzin.

Kiedy się obudził, głowa ciążyła mu nieznośnie i w całym ciele czuł niemile znużenie.

Spojrzał na zegarek, dochodziła już godzina dziesiąta.

Zadzwonił na Franciszka i kazał mu prędko przynieść śniadanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).